

PAMIĘTNIKI EDWARDA GORONA

b. prefekta paryskiej policji śledczej

(Ciąg dalszy)

Lży gradem padały mi z oczu, kiedy batalion nasz, jeden z pierwszych, załadowano do pociągu, który nas powiózł w stronę Paryża.

Czwartego września, o dziesiątej rano, wysadzono nas na dworcu, w Bercy i rozlokowano w koszarach, w wenseńskim lasku. Tu dowiedzieliśmy się, że w Paryżu wre w najlepsze rewolucja. Otrzymawszy pozwolenie, udałem się z paru kolegami do miasta. Na przedmieściu Świętego Antoniego, biegali jacyś ludzie z grzmiącymi okrzykami: „Do broni”, „Rzyna naszych braci”. Oddziały gwardji narodowej maszerowały, przy odgłosie bębnow; zamari zwykły ruch uliczny, całe miasto było ogarnięte jakąś gorączką. Chcąc dostać się do bulwarów, zasiedliśmy we czterech w dorożce, ale niebawem otoczył nas taki tłum, że trzeba było jechać stępą; okrążono nas i witano okrzykami: „Niech żyją turkosy”. Dosięgnawszy bramy Św. Dionizego, zostaliśmy zniewoleni do wyjścia z dorożki, ponieważ tysiące rąk podjęło nas i z grzmiącymi okrzykami poniosło triumfalnie po ulicach. Po pewnym czasie już stałem na stole w „Café du Helder”, zawodząc na całe gardło „Ren” Alfreda de Musset. Niebawem tłum znowu nas gdzieś powłócił i oto znalazłem się wśród paru gwardzistów narodowych, z którymi brataliśmy się, zdążając ku ratuszowi, dokąd dopiero co właśnie z triumfem przywieziono Rocheforta. Na placu stał jego ekwipaż, z którego wyprężono konie i tłum grzmiał na całe gardło; tuż obok mnie sierżant mojego bataljonu krzychał ze wszech sił: „Niech żyje Rzeczpospolita”. Rozpychając się łokciami i dzięki naszym mundurom, przed którymi tłum się rozstępował, dotarliśmy wreszcie do bram ratusza. Ze schodów zstępował blady, wzruszony Rochefort. Wkrąg niego wznoszono kapelusze i wyciągano doń ręce; jedną z pierwszych, które uściśnął, była moja.

Scena ta żywo stanęła mi przed oczami, kiedy, po dziewiętnastu latach, w okresie Bulanżyzmu, po wyroku Najwyższego Sądu, skazującym Rocheforta, — a mnie, jako prefektowi policji śledczej, na równi z innymi komisarzami, zakomunikowano jego rysopis...

Kiedy, późnym wieczorem, powróciłem do koszar, to przede wszystkim rzucił mi się w oczy nasz trębacz Ali, siedzący u wrót i żałośnie łkający. Okazało się, że, kiedy mu powiedziano, iż cesarz po Sedanie oddał swoją szpadę, to przede wszystkim zbił na kwaśne jabłko żuawa, który mu zakomunikował ową nowinę, a następnie wpadł w czarną desperację. A teraz siedział u wrót i, grzmocąc zaciśniętą pięścią po kolanie, powtarzał: „L'Empereur pas rendu son moukale”; (t. j. cesarz nie oddał swej broni). Rozpacz biednego chłopca zepsuła mi cały nastrój i zniewoliła do rozmyślań na temat znikomości ziemskiej sławy. Kładąc się na swoją pościel ze słomy, sam siebie zapytywałem, co by też było, gdyby tak cesarz się zdecydował na ostatni rozpaczliwy atak i miał szczęście paść na czele swoich wojsk.

W d. 17 września porzuciliśmy Paryż, bo nasz batalion winien był wejść w skład armji Luarskiej. W poszukiwaniu jej, byliśmy po kolei w Mance, Tour, Bourges, aż wreszcie przybyliśmy do Orléanu. W przeciągu paru dni został uformowany piętnasty korpus i powinniśmy byli na koniec zobaczyć nieprzyjaciela. A więc młodzieńcze moje marzenia o wojnie miały się wreszcie urzeczywistnić. I w samej rzeczy nasze algierskie bataliony armji Luarskiej uczestniczyły przynajmniej w dwudziestu potyczkach i starciach z nieprzyjacielem. Trafił nas przylem chłód i głód, grzęźliśmy po kolana w śniegu i odstrzeliliwaliśmy się Prusakom. Jednym słowem, użyłem wszystkiego w tych okropnych i smutnych czasach. Z niedobitkami wojsk generałów Bressola i Cremera ledwie dotarłem do Besançonu, gdzie, wyczerpany i opadły z sił, z odmrożonymi nogami, dostałem się wreszcie do szpitala. Kiedy na decyzję felczera, który postanowił amputować mi nogi, gorąco zaprotestowałem, przechodząc do następnego tap-

czanu, rzekł z lekceważeniem: „A, jeżeli tak, to niech sobie zdycha, kiedy mu się tego chce. Wyprawię go do Antibes, gdzie kwateruje sztab turkosów”. Ale, po przybyciu tam, okazało się, że naszego sztabu nigdy tam nie było, i przewieziono mnie do Marsylii, a z tamtąd znowu udałem się do Blidou.

— „A oto macie jeszcze jednego z nędznych bohaterów kapitulacji”, — krzyknął patetycznie lekarz sztabowy, nie opuszczający przez cały czas wojny Algieru. — „Oj, znamy my was”, — dodał po chwili, — wcale nie jesteście chore i dla tego racz łaskawie wrócić do szeregów”. — Ledwie dowlokłem się do koszar, ale tam ostatecznie opadłem z sił: straszny ból w nogach i silna gorączka z nóg mnie zwały i ległem bez przytomności. Okazało się, że zapadłem na tyfus. Moja rekonwalescencja postępowała nader wolno i dopiero na 31-y dzień wyszedłem ze szpitala, w którym przez ten czas przeniósł się do wieczności cały szereg moich sąsiadów. Nareszcie zostałem wypisany ze szpitala i wyjechałem do Marsylii.

Zawijając do portu, ze zdumieniem usłyszeliśmy tam armatnią i karabinową kano nadę: była to komuna, która wystrzałami witała nasz powrót do ojczyzny. Przyznaję, że w owe czasy komuna wraz ze wszystkimi jej okropnościami bratobójczej walki, bynajmniej w naszych oczach nie wydawała się tem, czem pozostała w historii, nader groźnym w swych następstwach ruchem socjalnym. I nieraz potem zapytywałem siebie, co by się ze mną stało gdybym był naówczas pozostał w Paryżu? I jestem najgłębiej przekonany, że, przejęty, jak większość ówczesnej młodzieży, gorącym uczuciem patriotyzmu, wcale nie byłbym się namyślał i, rzadząc się, jak to miało miejsce z wielu innymi, wyłącznie oburzeniem przeciw rządowi, co podpisał taki haniebnym pokój z wrogiem, byłbym niewątpliwie z bronią w ręku głosił wojnę na śmierć i życie. Oto dlaczego, w latach następnych, nigdy nie mogłem żywić sympatii do owych wrogich uczuć, przejawianych przez niektórych moich kolegów z prefektury policji, w stosunku do wszystkich tych osób, które choćby pośrednio były zamieszcane do komunistycznego ruchu. W prefekturze przez długi czas poczytywano za zasadę formowanie całych raportów wykazujących rolę, jaką odegrał dany osobnik podczas komuny, choćby go nawet pociągano do odpowiedzialności, z powodu zgola innej sprawy. Uważając podobną metodę, najczęściej zresztą nie przynoszącą żadnej korzyści samej istocie rzeczy, za skrajnie niesprawiedliwą, zawsze przeciw niej występowałem, ponieważ zgóry już, ze złośliwą umyślnością, starała się wpływać na usposobienie sędziów przeciw oskarżonemu.

Nakoniec, po wszystkich tych perepytych, udało mi się szczęśliwie wrócić do rodzinnego miasta, gdzie rodzice namówili mnie do zajęcia się handlowymi sprawami i zupełnie się uspokoił, kiedy zostałem agentem pewnej wielkiej firmy, handlującej winem. Wkrótce potem ożeniłem się, ale, pomimo to, czynności moje polegały przeważnie na ustawicznych rozjazdach, z jednego miasta do drugiego. Czułem, że do tychczasowa moja namiętność do przygód i podróży bynajmniej się nie ukoili. Mniej więcej, w tym właśnie czasie poznałem pana Lelong'a, byłego konsula Rzeczypospolitej Argentyńskiej, z którym załatwiałem różne sprawy. Wdawszy się z nim pewnego razu w dyskurs o Argentynie, tak zostałem porwany jego opowiadaniem o świetnej przyszłości tego kraju, o błogosławionym jego klimacie i o korzyściach, zbieranych przez jego kolonizatorów, że postanowiłem zlikwidować swoje interesy i wybrałem się do Ameryki wraz z żoną i dwojgiem dzieci.

Przybywszy do ujścia rzeki Rio-de-la-Plata, udałem się wraz z innymi przesiedleńcami do Urugwaju, na obszerne terytorjum, leżące między rzekami Vermejo i Pilcomayo, gdzieśmy, ni mniej ni więcej, jeno całe miasto założyć mieli. Szybko zakresliliśmy granice no-

wych posiadłości i w oczekiwaniu przyszłych domów i ulic, zadawaliśmy się na razie niewielkimi budynkami, wznoszonymi z drzewa (rancho — jak je nazywają Hiszpanie), mając przede wszystkim na względzie troskę o bezpieczeństwo naszej niewielkiej kolonii, zagrażające jej ze strony zewnętrznych wrogów. Nie wchodzi bynajmniej w zakres moich niniejszych pamiętników szczegółowy opis owych lat; poprzestanę więc tylko na zaznaczeniu, że w ciągu owych dwu lat, przepędzonych w Ameryce, w napoty dzięki miejscowości, gdzie nam codzień zagrażali Indianie, porywający nasze konie i nasze bydło, gdzie niemal nieustannie trzeba było narażać życie, — dobrze wystudjowałem sztukę obrony bezpieczeństwa publicznego przed złoczyńcami i nauczyłem się polować na człowieka, co mi się tak przydało w przyszłej mej działalności. Ale, nietylko, że nie zrobiłem majątku, lecz wręcz przeciwnie niebawem obruszył się na mnie cały szereg kłesk: mór padł na moje bydło, a powódź zabrała wszystkie moje budynki. A jeszcze, jakby na domiar tego, nowe stokroć większe nieszczęście ugodziło we mnie i w moją żonę: postradaliśmy syna, siedmioletniego chłopca, który zakończył życie na moich rękach, zamordowany przez złośliwą febrę. Od tego czasu nie mogłem bez urazy mówić o Ameryce, medytując jeno o powrocie do kraju. Dodam jeszcze drobny szczegół — być może, nie tak ważny, ale naówczas i on wywarł silny wpływ na mój stan duchowy. Była to owa kropla, która winna była przepelnić czarę mojej niedoli. Porzucając kraj, pod wrażeniem nieszczęść, spadłych na ojczyznę, znowu przed samym wyjazdem z Ameryki, dotkliwie rozkrwawiłem dawną bolesną ranę. Oto, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, okręt, mający nas przewieźć do Europy, był niemiecki i nazywał się „Strassburg” — co mi znowu przypomnielo stratę drogiej dla francuskiego serca prowincji i, przyznać muszę, do głębi przejęło mnie rozpacz. Był to naturalnie, tylko zwyczajny przypadek i słuszność nakazuje mi przyznać, że kapitan „Strassburga”, był to godny człowiek i wykazał, w stosunku do mnie delikatność, która przynosi zaszczyt marynarce niemieckiej i której mu nigdy nie zapomnę.

Rzecz polegała na tem, że, kiedyśmy w d. 1-ym września przybyli do Santos, gdzieśmy się mieli, zatrzymać, stawili się tego dnia na statku przedstawiciele miejscowej kolonii niemieckiej, prosząc kapitana o przybranie statku flagami, dla uczczenia przypadającej właśnie rocznicy pogromu pod Sedanem.

— „Nie”, — odpowiedział im kapitan, „byłoby to małodusznością, ponieważ na statku znajduje się francuska rodzina”.

Kiedy lekarz okrętowy, mówiac po hiszpańsku, opowiedział mi o tym fakcie, zwróciłem się natychmiast do kapitana i, nie bez wzruszenia, wyraziłem mu podziękowanie, za jego szlachetny postępek.

Rozdział II

Początek służby policyjnej.

Antwerpja. — Przyjazd do Paryża. — W poszukiwaniu pracy. — Zostaje nadetatowym sekretarzem. — Pierwsze próby służbowe. — Dwa samobójstwa. — Tajemnice Bułgarskiego lasku. — Szuler w roli agenta. — Ciekawa sprawa kryminalna. — Straszna zemsta z powodu zazdrości.

Niemiecki parostatek wysadził nas w Antwerpji. Żonę i dzieci wyprawilem natychmiast do krewnych, w Rennes, sam zaś postanowiłem udać się do Paryża, gdzie miałem nadzieję prędzej znaleźć sobie jakie miejsce. Ze smutkiem włóczyłem się po ulicach Antwerpji, pogrążony w niewesołych myślach, zgola zapomniawszy o swym nieco teatralnym kostjumie amerykańskiego gaucha i szerokokrzydłym meksykańskim kapeluszu, zwracającym powszechną uwagę przechodniów. Nie posiadałem zresztą innego ubrania i w owym, nieco egzotycznym stroju, przybyłem do Paryża w d. 31 grudnia 1880 roku.

(D. c. n.)

TREŚĆ: Andrzej Niemojewski: Policja a prasa. — Dr. Kazimierz Szczepański: Dyrekcja policji w Małopolsce. — Straż ogniowa: Zebrał i ułożył T. Modrzejewski. — Zygmunt Trzebiński: Ratusze czyli Wietnice w Polsce. — J. J. Krakowski: Pan Redaktor. — Przestępczość w Polsce. — Jan Riabinin: Komisja policji obojga narodów. — Jan dr. Schneickert: Portret z pamięci. — Organizacja rosyjskiej policji politycznej zagranicą. — Obwieszczenia urzędowe: Rozkazy Gł. Komendanta P. P. Odprawa komendantów okręgowych policji państwowej. — Dr. H. Gross: Badanie istoty czynów występnych. — I. Koral: Udział policji przy oskarżeniu w sądach pokoju. — Rozporządzenie Komisarza Rządu a wyrok sądu pokoju 12 okręgu. — Kronika krajowa. — Działalność policji. — He-man Czerwiński: Plaga złodziejstwa. — Rozkazy Komendanta st. m. Warszawy. — Przewodnik po Warszawie. — Kronika. — Z tygodnia. — Głosy publiczności. — Odpowiedzi od Redakcji. — Ogłoszenia. — Pamiętniki Edwarda Gorona. — Dodatek ilustracyjny.